

Kuryer Poznański

wychodzi codziennie z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęconych.

Redakcja:

przy ulicy św. Marcina nr. 16.

Administracja i Ekspedycja:

przy ulicy św. Marcina nr. 16 w Drukarni Kuryera Poznańskiego.

KURYER POZNAŃSKI.

Przedpłata kwartalna

wynosi w Poznaniu marek 4, na wszystkich pocztach cesarstwa niemieckiego i w Austrii marek 5 (zob. Zeitungs-Preisliste p. 1892 Abtheilung II. s. No. 48.) w innych krajach: cena poznańska z dołączeniem przesyłki.

Cena ogłoszeń

wynosi 15 fenigów od drobnej siedmiolamowego wiersza. — Reklamy po 80 fen. od wiersza. — Przekład na język polski bezpłatnie.

AJENCYE KURYERA POZNAŃSKIEGO:

Rajchmann i Frenkle, w Warszawie: ulica Senatorska 22. — R. Mosse, w Berlinie, Frankfurtie n. M., Hamburgu, Lipsku, Monachium, Norymberdze, Pradze, Strassburgu, Stuttgardsie, Wiedniu, Wrocławiu, Zurichu. — Haasenstejn & Vogler w Bazylei, Dreźnie, Gdańsku, Hall n. S., Hanowerze, Genewie, Kamienicy (Chemnitz), Kolonii, Lubecie, Norymberdze. — Havas Laffite & Comp. w Paryżu place de la Bourse 8.

Poznań, 4 marca.

Z bieżącej chwili.

(Program nowego ministerstwa francuskiego. — Odrośne rozprawy. — Położenie w Atenach. — Przyczyny zniszczenia gabinetu. — Aresztowania. — Zbrodnia w Carogrodzie.)

Prezes ministrów francuskich przeczytał wczoraj w Izbie deputowanych program nowego gabinetu. Powiedziano tamże, że rząd będzie bronił wszelkich praw republikańskich, mianowicie prawa wojskowego i szkolnego; nie sądzi jednakże, iżby miał mieć mandat do przygotowania separacji Kościoła od państwa. Rząd będzie strzegł pilnie ustaw konkordatu i użyje ich w istotnym znaczeniu i duchu. Członkowie kleru winni być posłuszni wobec praw narodowych i trzymać się zdaleka od walk i zatargów stronnictw. Gdyby zaś ustawy konkordatu miały się okazać niedostatecznymi, to gabinet zażąda od parlamentu potrzebnych środków do dalszej akcji. Dalej zaznaczono, że parlament, ustanawiając ekonomiczne prawodawstwo, zapewni ochronę rolnictwu i przemysłowi francuzkiemu; prawa te może też jedynie parlament zmienić, gdyby się potrzeba okazała. W końcu zwrócono szczególniejszą uwagę na ustawy o robotnikach, przedłożone Izbie, i zapowiedziano do jedności republikańskich deputowanych.

Centrum przyjęło program nowego gabinetu z żywym zadowoleniem, po stronie zaś prawicy i skrajnej lewicy panowała pewna oziębłość. Deputowany republikański Rivet żądał dokładniejszego wyjaśnienia polityki kościelnej. Na interpelację tę oświadczył minister Ribot, że co do najnowszej encykliki nie podjęto z Watykanem żadnych pertraktacji.

W stosunkach pomiędzy państwem a duchowieństwem jest tylko konkordat miarodawczy. Przedni gabinet zwrócił baczność Papię na manifestacje Biskupów, a szczególnie na wydawanie katechizmów wyborczych. Papię przyboczał, iż za każde wydawanie katechizmów wyborczych i załączenie do nich umiarkowania. Ribot zawezwał następnie Izbę deputowanych, aby się bezwzględnie przyłączyła do polityki obecnego gabinetu. Barthou (republikański) dziwi się, że przesilenie niczego nie zmieniło, że ci sami ministrowie, którym nieufność wyrażono, występują w Izbie z temi samymi zasadami polityki rządowej, które niedawno potępiono. Prezes ministrów, Loubet — oświadczył, że odpowiedzialność za politykę kościelną przeszłego gabinetu bierze na siebie. Rząd będzie się starał przeprowadzić projekt ustawy, tyczący się stowarzyszeń. Deputowany Palletan żąda, aby wydano książkę żółta o pertraktacjach z Watykanem i wyraża to samo zdziwienie, co Barthou. Prezes ministrów, Loubet, żarząca, że gabinet nie jest niczem związany z Watykanem — ani żadnym zobowiązaniem, ani żadnym traktatem.

Izba przyjęła następnie 341 głosami przeciw 91, porządek obrad Riveta, aprobuja program polityki rządowej. Trybuna były podczas posiedzenia publicznością zapełnione. Wszyscy prawie ambasadrowie zagraniczni przysłuchiwali się obradom, które, jak większa część prasy wrożyła, miały zakończyć się niechęcią Izby do nowego ministerstwa. Ibać się jednak stało. Większość, jaką został program rządowy przyjęty, zadziwiła nawet zwolenników nowego gabinetu. Nikt się takiego powodzenia nie spodziewał, a najmniej sami ministrowie. Po stronie mniejszości stali jedynie członkowie skrajnej lewicy. Zapaleni przyjaciele Constansa, głosowali również za rządem, a do zwrotu tego miały ich spowodować wycieczki dzienników, ujmujących się za Constanssem w sposób, który dyskredytował Freycinet'a jako ministra wojny.

Położenie w Atenach, o ile się zdaje, nie jest wcale wesołym. Wczorajszy dzień — donoszą nam telegraficznie — minął bez znaczących wypadków, porządek publiczny nie został zakłócony. Wojsko zbrojne uwijało się cały dzień po ulicach miasta, strzegąc pokoju. Z tego komunikatu wnosić należy, że manifestacje, których areną była grecka stolica ubiegłego wieczora, musiały mieć bardzo poważny charakter. Dalej donoszą, że król pochwalił wojsko za jego zachowanie się podczas dnia wczorajszego. Również ta okoliczność pokazuje, że sytuacja w Atenach była chwilowo nader krytyczną i niebezpieczną, jeśli siła zbrojna musiała rozwinąć akcją i zasłużyła sobie na pochwały.

Dzisiaj telegrafują nam: Ateny, 4 marca. Mówią, że król oświadczył w obec kilku politycznych osobistości, że Delyannisiowi radził, aby chwycił się radykalnych środków, celem zażegnania kłopotów finansowych. Delyannisi zobowiązał się przedłożyć Izbie fiskalne środki, które miały przywrócić i zabezpieczyć równowagę budżetu. Wątpliwości, jakie prezes ministrów miał względem monopola tytoniowego, pokazały, że nie rozumiał on sytuacji, i król zniwolił do wręczenia dymisji. Omawiano następnie kilka artykułów zagranicznych dzienników. Król oświadczył, że Grecya nie chce pokoju zaburzyć, a zbrojenie armii jest w proporcji z dochodami, które starczą na wszelkie potrzeby skarbcza państwowego.

Ateny, 4 marca. W kołach rządowych twierdzą, że nowe ministerstwo nie przedsięwzięnie żadnych zmian w zagranicznej dyplomacji greckiej. Ograniczy się tylko na obsadzenie nowymi ludźmi

kilka zaufanych stanowisk we wewnętrznej administracji. Prasa Trikupisa zachowuje się w obec nowego gabinetu bardzo przychylnie, a kilku deputowanych Delyannisa przyrzekło mu pomoc swoją.

Z Patras donoszą, że urządzono tamże poważną demonstracją na cześć byłego prezesa ministrów Delyannisa, który zamysłał wyjechać na prowincya w celach agitacyjnych.

Dzienniki ateńskie donoszą, że Delyannisi zamianował krótko przed swoją dymisją zaufanego oficera szefem ateńskiego garnizonu i podpisał rozkaz, mocą którego miano przyręszować byłego komendanta pałacowego, Matragasa, wyniesionego obecnie do godności ministra wojny.

Ateny, 4 marca. Dwudziestu członków stronnictwa Delyannisa zamierza przyłączyć się do rządu. Przyaresztowano kilku oficerów, pomiędzy nimi szefa ministerstwa wojny, Limbaretiusa.

Bułgarska „Swoboda“ zamieszcza artykuł napisany pod wrażeniem skrytobójstwa, dokonanego na osobie ajenta dr. Wulkowicza. Artykuł ten wywodzi, iż zbrodni dopuścili się żywoły, ostrońskie skrzydła dyplomacji rosyjskiej. Przypomniałszy różne usiłowania, podejmowane dla wywołania zaburzeń w Bułgarii, jak spisek Panicy, zamach na Stambulowa i zamordowanie ministra Belczewa, położono na to nacisk w tym artykule, że dyplomacja rosyjska, wyczerpawszy wszystkie legalne środki w celu strażenia księcia Ferdynanda, ima się obecnie niegodziwych środków. Gdy cała prasa europejska potępiła otwarcie owe agitacje dyplomacji rosyjskiej, dyplomacja europejska jest indyferentną, i nie przedsiębierze żadnego kroku, który mógłby powstrzymać tego rodzaju zamachy. „Swoboda“ zapytuje się tu, czy Europa chce może, by naród bułgarski stracił cierpliwość i rozpoczął również działać z pomocą środków, napiętnowanych jako zbrodnicze. Dalej krytykuje ostro zachowanie się Wys. Porty, która, gdy rząd bułgarski zażądał wydalenia głośnego i niebezpiecznego agitatora Stanczewa, umożliwiła temuż ucieczkę do Rosyi, a to w chęci przypodobania się rządowi petersburskiemu.

Znaczna część winy za to, iż dr. Wulkowicz został zamordowany, spada na W. Portę, ta bowiem pomimo zwrócenia tej uwagi na obecność w Konstantynopolu żywołów spiskujących na życie patriotów bułgarskich, nie uczyniła nic zgoła w interesie pozbycia się zboru ze stolicy tureckiej i osłonięcia tych, którym zagrażało bezustanne niebezpieczeństwo. Organ bułgarski powiada w końcu, że byłoby nie do przebaczenia, gdyby Europa i W. Porta po ostatniej zbrodni nie uczyniła nic dla położenia kresu zbrodniczym usiłowaniom. W każdym jednak razie zamordowanie tego lub owego męża stanu nie powstrzyma dalszego rozwoju Bułgarii.

W tym samym przedmiocie zamieszcza artykuł także „Bulgarie“, wskazując na to, iż emigrant bułgarski Stanczew, którego wydania domaga się od W. Porty rząd zoński, jest silnie podejrzony, iż był współwinnym w zamordowaniu Belczewa, i konferował niedawno z rosyjskim ministrem spraw zagranicznych Giersem. „Bulgarie“ zaznacza, iż same dzienniki rosyjskie donoszą o tej konferencji.

Mordercy dotychczas nie wykryto, pomimo gorliwych poszukiwań policyi. Rezultat dochodzeń jest następujący: Wulkowicz wracał do domu z codziennych urzędowych wizyt, które zawsze składał o jednej porze. Kiedy przechodził ulicą Kabristan, wypadł z klubu „Konstantynopol“, będącego siedziskiem wszystkich agitatorów rosyjskich, greckich, albańskich, czarnogórskich i t. d., jakiś człowiek niskiego wzrostu, który natychmiast podążył za Wulkowiczem, i rzucił na niego w chwili, gdy on skręcał na ulicę Szimal. Uderzenie obosiecznym nożem w brzuch było dziełem jednej sekundy. Widział to sekretarz kolei wschodnich, Henryk Simon, który właśnie zbliżał się ku temu miejscu ulicą Szimal. Pobjeżył on natychmiast za mordercą, ale ten szybko cofnął się w ulicę Kabristan, skręcił w jakiś boczny zaułek, i zniknął. Wtedy Simon wrócił do ranego Wulkowicza, podniósł go i zaprowadził do domu, odległego od miejsca wypadku zaledwie kilkanaście kroków. Wulkowicz był jeszcze kilka godzin zupełnie przytomny. Dokładnie opisał na dyrektorowi policyi, Nazim-beyowi, jak wyglądał morderca; to samo uczynił Simon, i to było pierwszą podstawą do poszukiwań. Aresztowali go od razu prawie wszystkich znanych agitatorów, przekonano się z ich zeznań, że mordercą był Porfiry Iwanow, niepoprawny zbrodniarz, który już wiele razy siedział w kryminalu, a ostatni rok mieszkał w Odesie, na żądzie komitetu, opiekującego się emigrantami bułgarskimi. Do Konstantynopola przybył on kilka dni przed zbrodnią, i rozpowiadał, że ma rachunki z Wulkowiczem, a także musi mu zapłacić za to, że starał się u władz tureckich o wydalenie z Konstantynopola spiskowca bułgarskiego, Stanczewa, który także teraz mieszka w Odesie. Jest tedy przypuszczenie, że Iwanow umyślnie przyjechał z Odesy dla spełnienia zbrodni, i że zaraz po niej odplynął na parostatku rosyjskiej dobrowolnej floty. Między papierami Wulkowicza znaleziono listy Stanczewa z pogrózkami.

Telegramy.

Paryż, 3 marca. (Senat) Minister sprawiedliwości przeczytał program rządu, który przyjęto bar-

dzo przychylnie. Posiedzenia senatu odroczone do poniedziałku.

Rzym, 3 marca. Z powodu rocznicy koronacji Papięza celebrował Kardynał Zigliara mszę dziękczynną w sykstyńskiej kaplicy. Papięz, oraz Kardynałowie i dyplomaci przy Watykanie byli obecni. Papięz bardzo dobrze wyglądał i sam zaintonował „Te deum.“

London, 3 marca. Biuro Reutersa donosi, że Mosambque że wojsko należące do wyprawy portugalskiej, stojące pod dowództwem oficera Coutinho podniosło rokosz i zrabowało kraj nad niższego Zambezi, wyrządzając handlarzom wielkie szkody.

Lizbona, 3 marca. Minister finansów przedłożył dzisiaj Izbie deputowanych projekt, tyczący się ocalenia alkoholu i zapalek, które ma podwyższyć dochody państwowe o 674 kontos.

Paryż, 3 marca. Zebranie 40 mniej więcej deputowanych prawicy, którzy tak zw. konstytucyjną grupę utworzyli, zestawilo dzisiaj swój program. Wynika z niego, że grupa ta tworzy konserwatywne stronnictwo, oparte na republikańskich zasadach.

Wiedeń, 3 marca. Krążyły tutaj pogłoski o zamachu na cara. Pogłoski wywołał telegram z Petersburga, ogłoszony w „Prager Tagblatt.“ — Dotychczas pogłoski te nie zostały potwierdzone.

Petersburg, 3 marca. „Mosk. Wiedom.“ dowiadują się, że projekt skasowania ministerium komunikacji, jako instytucji samodzielnej, nie uzyskał ostatecznej aprobaty. — Towarzystwem ministra komunikacji mianowano tajnego radcę Iwaszczenkowa, a dyrektorem departamentu kolejowego Romanowa — Głównie Towarzystwo kolei rosyjskich porozumiewa się ze zarządem kolei południowo-zachodnich, celem ustanowienia bezpośredniej komunikacji pomiędzy Odesą, a Petersburgiem przez Żmerynka, Równę, Pińsk i Wilno.

Uwagi na czasie.

V.

Może przy świętym poście na czasie byłby rzut oka na nasze stosunki społeczno-moralne?

Nie ulega wątpliwości, że społeczeństwo nasze jeszcze daleko po za innemi pozostało w postępie — zepsucia. I u nas niecnota szeroko się rozpościera, ale objawy jej zawsze jeszcze na rozczęście są małe i drobne w obec posiewu i plonu szatańskości, jaka się rozpościera po innych „cywilizowanych“ społeczeństwach. Może i cnoty nasze są małe, ale jeszcze ich sporo krzawi się u nas i przechodzi z pokolenia na pokolenie. Ogólny stan społeczeństwa pod względem moralnym bynajmniej nie jest zatrważającym, a tém mniej nieuleczalnym.

Zadaniem gazet nie jest moralizowanie. Nie byłoby więc na czasie rozwodzić się drobiazgowo nad moralnym stanem społeczeństwa. Natomiast i publicystyka uchylić się nie może od obowiązku, choćby tylko urywkowego przeglądu moralności ze względu, jeżeli nie na prywatne, to na sprawy publiczne. Nie godzi się jej wniknąć w tajemnice powieści, w brudy prywatne, rodzinne, ale na linii, po której sprawy publiczne stykają się z wynikami moralnego stanu bądź jednostki, bądź jakiegokolwiek zbiorowości, nie można się uchylić od obowiązku mówienia o objawach etyki społecznej, zdradzających jej obniżenie.

Zatem powiemy i my dziś słów kilka o takich objawach, bez nurzącego systemu, ot tak sobie wyrzykowym sposobem ulotnej pisaniny.

W społeczeństwie naszym, które bynajmniej nie jest tak zgangrenowane, jak się zatwardziały pesymistom wydaje, rzązą między innemi dwa bardzo ujemne objawy, mianowicie mania wielkości jako objaw rozsadzający, a brak przyjaźni jako objaw, przeszkadzający kojarzeniu sił.

Mania wielkości, jest to choroba nagminna, a powiedzmy zaraz, nie wyłącznie polska. W każdym zaułku powiatowym, w każdym kącie miejskim cywilizowanego świata istnieją i wysmiewają się te wielkości zaściankowe, które swój żywot wiodą bez — potrzeby.

Niech tam na szerokim świecie, będzie, jak sobie chce, nie nasza rzecz w to wniknąć. Nas tylko boleć powinno, że u nas nie jest lepiej, jak gdzieindziej, i że konsekwencye może są gorsze, jak gdzieindziej. W społeczeństwach zorganizowanych politycznie i społecznie, towarzysko, istnieją uprzywilejowane powagi, wobec których moralne „wielkości“ przy całej samowiedzy i górnem samopoczuciu maleją i nikną. U nas,

gdzie „moralnie“ istnieje, albo powiedzmy raczej, dotąd istniała rzeczpospolita, a uznawanie powag władzy, stanu, nauki, inteligencji, cnoty, nieledwie uchodziło za krzywdę, wyrządzą „złotą wolności ogółu“, daleko łatwiej, daleko niebezpieczniej rozradza się mania „wielkości“ w całym blasku czy blichtrze swęj wątpliwości.

Pocieszającym jednak w stanie tym objawem, że z małemi wyjątkami mania ta rozpościera się u nas nie wyłącznie na gruncie pychy, lecz raczej na gruncie nadmiaru „dobrej“ woli w nieswojem miejscu i chwili. Narodom, społeczeństwom potrzeba „wielkich ludzi“, więc biorąc rzeczy ściśle, każdy dobry obywatel ma niby obowiązek zostać „wielkim“, żeby potrzebie tej zaradzić.

Tym sposobem na rzeczy się zapatrując, nie byłoby tak dalece nie zdrowego w naszym dążeniu „do wielkości“, gdyby ta wielkość nie była naprzód strasznie mała, a następnie, gdyby wielkości nasze rozwijały się wyłącznie równolegle, bez krzyżowania swych orbit i bez zderzeń na ich torze.

Na czarnoziemie ukraińskim podobno nad chłopa, nad jeźdźca wyrastają trawy i szuwały, wszystkie strzelają ku niebu, ku słońcu, póki ich nie ukróci żar Feba lub mróz Boreasza. W gęstym lesie jedliny, a nawet pospolitej sosny, im gęściej stoją sadzonki, tem chylęj, tem wyżej tem prędzej rosna i dąży w przykładowej manii wielkości, żeby się przydać na dragi, belki i maszty. Wicher szamoce ich koronami, a one zamiast się popychać i obalać, wspierają się, opierają, a jeżeli runą, to już razem pod siłą burzy, łamiącej całe spłazy.

U nas całkiem inaczej. I my rośniemy, wielu czuje w sobie powołanie masztowiny, ale z nadużyciem wolnej woli i lepszej wiedzy. Nasze wielkości nie stoją na mocnych korzeniach jak owe dęby leśne, lecz tańczą, taczają się potracając najchętniej sąsiadów w prawo i lewo, żeby wywyższyć siebie.

Trzeba być oczywiście bardzo ostrożnym w takich poglądach, żeby broń Boże nie dostać się pod mściwy zamach takiego lasu tańczących „wielkości.“

Najlepiej im spokojnie pozwolić wybujać i wyszaleć. Niech się nacieszą swą „wielkością“ do przesyty, do rozpoznania swęj nicości własnej i karłowatej natury niedorostków, którym w cieniu swem łaskawie bytować pozwalają.

Bywają tedy chwile, że sobie powiedzić muszą: ach pragnęliśmy dla dobra ogółu zostać „wielkimi“ i tworzyć cuda olbrzymie, a my bodaj strasznie mali i cuda nasze nie większe.

Tak, mali jesteśmy, my wszyscy razem, strasznie mali i nie urosniemy prędzej, póki się o małości naszej nie przekonamy. Zaiste nie jest zadaniem każdego osobnika, żeby zostać wielkim któregośkolwiek stopnia; obowiązkiem jest być użytecznym, względnym, zycziwym, usunym, a skromnym bez maski, cnotliwym bez udawania, bez rachuby, bez tęg wstrętnej arytmetyki bardzo wielu wielkości, liczących zawsze przeważnie na naiwność swego otoczenia.

Lecz dosyć o tem na dzisiaj. Niejednokrotnie potracimy jeszcze o tę dziedzinę, bo prawie na każdym zagonie pracy uprawia mania wielkości swe zachwaszczające kultury.

Czem miłość w życiu rodziny, tem przyjaźń w życiu społecznym. Potężna to spójnia, olbrzymi motor wszystkiego co dobre, piękne i szlachetne. Miłość wiedzie stała i rodziny po torze cnoty do swych przeznaczeń, przyjaźń wiąże bez zewnętrznego zespolenia, idealną nicią duchy i dusze do wspólnych zamiarów i dzieł. Wiara i oświata, miłość a przyjaźń, to największe klejnoty moralne.

O wierze, oświacie, miłości, dość często się u nas mówi, utwierdza się je, rozpowszechnia, podnieca, ale rzadko spotkać się z pamiętnem wspomnieniem o przyjaźni i jej znaczeniu społecznym. Prawie nie zdajemy sobie sprawy z istoty jednej z najpotężniejszych dźwigni społecznych. Wymawiamy machinalnie częstokroć wyrazy: „kochany przyjacielu“, ale coby też to była „przyjaźń“, może nawet nie jesteśmy ciekawi zapytać.

Nieboszyk Cicero coś tam mówił, że przyjaźń polega na tem, żeby tego samego chcieć i tego samego niechcieć; chrześcijaństwo rozszerzyło tę definicyę rozumową na serdeczności duszy, a ogranicza ją na wspólność chęci i woli cnotliwej, skierowanych na cele zacne i dobre, a nie na cygaństwa, uchodzące dziś między przyjaciółmi i nieprzyjaciółmi za szczyt rozumu i dzielności.

Daleko społeczeństwu naszemu do tego zarchizowania i rozwarcholeń, żeby przyjaźń prawdziwa w nim zupełnie nie była znana. Twierdzimy tylko, że jest rzadką, coraz rzadszą, coraz bleśszą, coraz mniej kojarzącą w kierunku dobrej woli, a społecznej cnoty. Są formy zewnętrznej przyjaźni spoistości, ale pełne wewnętrznej obojętności lub nieszczerości. A nie mówimy już nawet o tak pospolitej „przyjaźni kieliszkowej“, w której przyjaźń tonie, zamiast się odżywiać. Nie mówimy o niej, bo to jest *la partie honteuse* społecznego gmachu „przyjaźni“. Jeszcze przecież istnieje między nami i przyjaźń „na sucho“. Istnieje i być musi, bo inaczej rozpadłby się gmach społeczny zupełnie. Istnieje, jeżeli nie stale, to chwilowo, w przeskokach, na wyrwyki, w prawo, w lewo, żeby nie pozbawiać się zupełnie tej życia słodyczy. Ale jakże zaprawną bywa ta słodycz różnolitym przysmakami najnienaturalniejszych składników. Twój przyjaciel nie powie ci nigdy: tak tak, nie nie, nie powie wyraźnie czego pragnie, tylko przechrztem chciałby cię sobie zniewolić, żeby się móżdż pochwalić, choćby przed samym sobą swą przewagą na nutę: a tom go złapał. Twój przyjaciel mówi do ciebie, a nie usłyszysz od niego innego słowa, jak przecherstwo, obmowa. To naturalnie są żarty przyjacielskie, bo skoro chodzić będzie o moralną, czy materialną skórę waszego wspólnego przyjaciela, bliźniego, podzielicie się nią — niekiedy uczciwie. To już taka cecha wieku; wszędzie jest walka o byt, — nawet w przyjaźni i przez przyjaźń!!

Tego się nie odmieni, a ktożby chciał nawet odważyć się na odmianę. Ale ponieważ jest tak i wielokrotnie inaczej, ale mniej lub więcej wstrętne na świecie, powinno się o tem wiedzieć i powinno się to wypowiadać, żeby wzbudzić i utwierdzić szacunek, a chwałę — dla prawdziwej przyjaźni, w słowie i czynnie.

Domarat.

Mowa pioska dr. Zygmunta Dziembowskiego

wygodzona w parlamencie niemieckim w dniu 3 marca 1892 r. przy obradach nad projektem, dotyczącym stanu obłączenia w Alzacji i Lotaryngii.

(Zobacz niżej.)

Mości Panowie! Gdy już zaznaczono w dyskusji wyższe polityczne zapatrywania, czuję się zobowiązanym w imieniu mych ziomków krótkie złożyć oświadczenie. Występowaliśmy zawsze w obronie bezpieczeństwa terytorium i granic Rzeszy. Tego dowiedliśmy niejednokrotnie naszym głosowaniem. Pomimo to nie zajmujemy przychylnego wobec projektu stanowiska, ponieważ nie możemy oprzeć się wrażeniu, że tu jednak mamy do czynienia z ustawą wyjątkową. To prawda, że nasze osobiste przekonanie znacznie zostało wstrząśnięciem przez oświadczenie pana pełnomocnika Rady związkowej i deput. Hartmanna. Przy tem położeniu musimy przedewszystkiem uwzględnić to, co lotaryngsko-alzacka ludność myśli o tym projekcie. Pan poseł dr. Petri już powiedział, że ustawę tę uważają jako

wyjątkową a zbroczeniem od ogólnego prawa polega bez wątpienia na tem, że się wydaje projekt, który jest przeznaczony dla jakiegoś pewnego terytorium. W obec tego faktu trudno zaprzeczyć, że mamy w pewnym kierunku do czynienia z ustawą wyjątkową.

Mości Panowie! Nie możecie się dziwić, jeżeli przy zasadniczym naszym stanowisku w tym kierunku obstajemy, uznając się za zasadniczych przeciwników wszelkiego ustawodawstwa wyjątkowego. Stoimy na stanowisku, że ustawodawstwo wyjątkowe tylko budzi niezadowolenie — że właśnie nadaje się do podsycańca lasecznika niezadowolenia. Wychodząc z tej zasady, sądzimy, iż nie na drodze ustawodawstwa wyjątkowego można osiągnąć bezpieczeństwo w marszach pogranicznych, lecz przez to, że się ludność uczyni zadowolona. *Zadowolona ludność w marszach pogranicznych stanowi o wiele większą gwarancję dla bezpieczeństwa granic Rzeszy, aniżeli najlepsza ustawa o stanie obłączenia.*

Mości Panowie! Jakkolwiek jesteśmy zasadniczymi przeciwnikami projektu, to jednakże będziemy głosowali za obradami w komisji i to z tego powodu, ponieważ przypuszczamy, że część motywów może dopiero w komisji rząd przedłoży i jedynie ze względu na to, będziemy głosowali za przekazaniem projektu komisji.

(Brawo!)

„Opuszczeni katolicy w Królestwie.“

Taki nagłówek ma artykuł zamieszczony w śródowym numerze „Köln. Ztg.“ Autor stwierdza w nim, że w Paryżu po okrzyku „Vive la Russie“, nastąpiło hasło: „à bas le Pologne“ — jeżeli nie głośno, to przynajmniej w myśli. „Gdzież są dawiejsze sympatyje Francuzów dla „rycerskiego“ narodu Polaków?“ — pyta autor artykułu i rozwodzi się następnie nad smutnym położeniem Kościoła katolickiego i jego kapłanów w Polsce rosyjskiej. Uciśnieni obecnie żydzi i niemieccy luteranie w nadbałtyckich prowincjach znaleźli wymownych obrońców. Ale we Francji zaknięto uszy na cierpienia prześladowanych katolików polskich. Nawet niemiecka prasa „ultramontańska“ pogryzała się w wymownym milczeniu. Los cierpiących pod rosyjskim bezprawiem i prześladowaniem katolików w Polsce i na Litwie uczy, że organizacja rzymskiego Kościoła uwzględnia wyłącznie i jedynie interesa prywatne — gdzie te interesa nie identyfikują się z popieraniem wiary, tam poświęca się cierpiących katolików bez pytania.

W obec tych blasfemii godzi się przedewszystkiem zapytać: Co to za ludzie występują przeciwnie w nowoczesnej Francji jako wielbiciele Moskwy? Są to po największej części ludzie żądni zmian, nie troszczący się bynajmniej o katolicki Kościół i jego nauki, którzy idą za pociągami mody i nie wiedzą, co czynią. Zresztą znajdują pomiędzy francuskimi katolikami cierpienia ich polskich i rusyjskich współwyznawców i dziś jeszcze świętych obrońców, że wspomniemy tylko ks. Guépin i Anatola Beaulieu de Roy. Twierdzenie zaś, że niemiecka prasa katolicka nie troszczy się wcale o jęczącą pod rosyjskim uciskiem sumienia Polskę polega albo na zupełnej nieznajomości katolickiej prasy niemieckiej albo na śmiałym przekręceniu faktów. Kto w ostatnim kwartale przeglądał katolicką prasę niemiecką, ten przekonał się, że wszystkie najważniejsze dzienniki katolickie zrobiły, co się należało. Przyczem nie należy przeczyć, że można było zrobić jeszcze więcej. Wiadomo, że nie brakło katolików, tak pomiędzy świeżkami, jak i duchownymi, którzy się nauczyli po rosyjsku i po polsku, aby poznać źródło wypadki w państwie carów. Nie tajno też nikomu, jaką troską i staraniem otoczył katolików rosyjskich s. p. Papiież Pius IX, jak niemniej obecnie miłośnicie nam panujący Leon XIII. Kiedy katolicy w Rosji cierpieli tyle pod rządami panującego despoty Mikołaja, ani wolnomyślna prasa ani „protestancka“ nauka nie miały nie przeciwko temu do nadmienienia, co więcej, głównymi narzędziami prześladowczego

systemu Mikołaja byli niemieccy luteranie z prowincji nadbałtyckiej, z pomiędzy których dość wymienić straszliwego hrabiego Sieversa. Kiedy po r. 1863 pod rządami tak wysoko przez liberałów niemieckich cenionego „ludzkiego“ Aleksandra II przesładowania wybuchły na nowo, milczały gazety liberalne. Bismark, rząd pruski i inne uważały te wypadki za sprawę wyłącznie rosyjską, nie podlegającą międzynarodowej interwencji.

Ale z kąd się wzięły nagle te krokodylowe łzy nad naszą biedą w grzeczności, która nas Polaków nie cierpi tak, jak grzechu śmiertelnego? Nad odpowiedzią nie będziemy się chyba mozolili długo. Jeżeli „Köln. Ztg.“ — a z nią niemieccy liberałowie taką czują sympatyę do polskich katolików, [to dla czego oni to właśnie i przed wszystkimi innymi przyczyniali się do tego, że skutki walki kulturowej w naszym Królestwie sprawy takie spustoszenia? Lub czy może ustawa kolonizacyjna z r. 1885 uchwalona została ku pożytkowi katolickiego Kościoła w Królestwie? Złe byłoby z pewnością z nami uciśnionymi Polakami i Rusinami, gdybyśmy litości i po ciechy szukał musieli u pp. narodowych liberałów, którzy występowali zawsze jako zagorzali przeciwnicy kościoła katolickiego!

Z obrad komisji szkolnej.

Berlin, 3 marca.

Przed tygodniem, jak wiadomo, utworzono podkomisję, która miała ustanowić w projekcie władze, wydające rozporządzenia i przepisy odnośnie do budowy i reparacji szkoły. Podkomisja ta, spełniwszy zadanie w czterech posiedzeniach, przedłożyła dzisiaj następujące propozycje: Ust. 1 § 21 wyrazić w ten sposób: „prezes rejencji wydaje ogólne rozporządzenia co do wykonania budynków szkolnych i porządzenia szkół“ — zamiast „przepisy“ w projekcie rządowym; aby ust. 3 § 21, który przeprowadzenie tych rozporządzeń przekazuje wzmocnionej władzy powiatowej odn. miejskiej, skreślić zupełnie i dodać następujące nowe paragrafy: § 26a „Na mocy ogólne przepisów i z uwzględnieniem miejscowych stosunków oraz możliwości zobowiązanych stwierdza wzmocniona szkolna władza powiatowa (miejaska) żądania, odnoszące się do budowy szkół ludowych — także przy połączeniu urzędu szkolnego i kościelnego — odnoszące się do wyposażenia szkół w pojedynczym przypadku. Jeżeli chodzi o jednorazowy wydatek najwyżej 300 m., natenczas w miejscu wzmocnionej szkolnej władzy powiatowej (miejaskiej) jest kompetentna szkolna władza powiatowa (miejaska).“ § 26b: Jeżeli rozporządzenia co do nowych budynków i reparacji oraz wyposażenia szkół ludowych wydaje szkolna władza powiatowa (miejaska).“ § 26c: Jeżeli rozporządzenia co do nowych budynków i reparacji szkoły ludowej zostają zacepanie, ponieważ wydane rozporządzenia przechodzą granice potrzeby, albo ponieważ nie uwzględniono dostatecznie stosunków miejscowych lub możliwości, natenczas na zażalenie zobowiązanych do utrzymania szkoły przy szkołach wiejskich rozstrzyga wydział powiatowy, przy szkołach miejskich wydział obwodowy. Termin przedłożenia zażalenia wynosi dwa tygodnie. Termin rozpoczyna się, o ile skargę podniesiono na czas wedle § 50b, z jej ostatecznym załatwieniem.

§ 50a: Ponoszenia ciężarów szkolnych można żądać od zobowiązanych do tego wedle §§ 35—48, bez względu na zobowiązania trzecich osób, polegające na szczególnych tytułach prawnych.

§ 50b: Co do publicznie prawnych zobowiązań gmin, lub trzecich osób, zamiast tychże, lub obok nich wstępujących do ponoszenia ciężarów szkolnych włącznie z kosztami także w przypadkach wyliczonych w § 42, jako też co do rozdzielania ich na zobowiązanych, rozstrzyga, na protest wniesiony w przeciągu dwóch tygodni, władza, która wydała rozporządzenie. Przeciwno uchwałom odbywa się skarga w drodze postępowania administracyjnego. Skargę tę, o ile interesowany z powodów publicznego prawa uważa zamiast siebie kogoś innego za zobowiązanego do przyznania mu ciężaru, można zwrócić także przeciw temuż. Zresztą także podlegają spory

interesowanych o to, kto ma publicznie prawne zobowiązania do ponoszenia ciężarów szkolnych, wyrokowi postępowania administracyjnego. Skargę należy wnieść w przypadkach wyrażonych w ust. 2 w przeciągu dwóch tygodni. Kompetentna władza może dla uzupełnienia skargi udzielić odpowiedniego terminu dodatkowego. Przez upływ tych terminów nie wyklucza się skargi w postępowaniu administracyjnym o zwrot przeciwko trzeciej osobie, zobowiązanej na mocy publicznego prawa. Kompetentnym w postępowaniu administracyjnym jest w pierwszej instancji przy szkołach wiejskich wydział powiatowy, przy szkołach miejskich wydział obwodowy.

Dalej proponuje komisja następujące brzmienie dla § 39: „Jeżeli obwód dominialny nie znajduje się w wyłącznym posiadaniu właściciela dóbr, to można przez porozumienie się zobowiązanych do ponoszenia ciężarów w obwodzie dominialnym, z przyłączeniem w nie należących do właściciela dóbr częściach obwodu dominialnego właścicieli ziemskich, mieszkańców osób jurystycznych, towarzystw akcyjnych, komandytowych na akcje górniczych i spółek zapisanych, których interes przekracza zakres członków, ustanowić ich udział w administracji spraw szkolnych za pomocą statutu. Statut musi co do uregulowania obowiązku płacenia zgadzać się z przepisami prawnymi co do rozdzielania ciężarów gminnych w gminach wiejskich. Potrzebuje potwierdzenia wydziału powiatowego. Ust. 3 § 39 zatrymuje brzmienie projektu rządowego, dodano natomiast ust. 4. „W braku porozumienia się interesowanych może wydział powiatowy ustanowić statut na wniosek właściciela dóbr.“

Po dość długich rozprawach, w których posłowie różnych stronnictw wyrażają żądania niektórych zmian przyjmując komisja, odrzucając wnioski, § 21 w brzmieniu podkomisji z drobną poprawką, tak samo §§ 26a i 26b, §§ 50a i 50b i ostatecznie § 39

Dalszy ciąg obrad w piątek o godz. 10.

Kwestya Irlandzka.

Wspominaliśmy już o projekcie ustawy na korzyść Irlandyi, przedłożonym przez gabinet Salisburego. Jest on zręcznym manewrem ministerstwa konserwatywnego. W ten sposób spodziewają się w Anglii uspić nienfrośnię, uspokoić walkę i bez gwałtu osiągnąć utrzymanie *statu quo* w stosunkach bardziej specjalnie politycznych.

Nie można liczyć na powodzenie tego kroku. Wystarczyło słyszeć w ostatnich dniach w klubie studentów katolickich młodą patryotkę irlandzką, Miss Maud Gonne, aby się przekonać, że antypatya jest nieopohamowana i że wszelkie wybiegi ze strony Anglii zostaną odkryte.

Jakkolwiek bądź jest, Izba niższa wysłuchała pierwszego czytania billa, przeznaczonego do ułatwienia nabywania drobnej własności. Sir Harcourt skrytykował go ostro. Ubolewa on nad tem, że warunki jego są tylko fakultatywne a nie obowiązujące.

Oto jego treść: „Bill ma udzielić radom hrabstwa władzy zakupywania ziemi, sprzedawania parcel w obszarze 50 akrów i wydzierżawiania ich w obszarach, nie przenoszących 10 akrów.

„Nabywca zapłaci czwartą część w chwili zakupu i drugą ówsiątkę w postaci wiecznej dzierżawy, umarzalnej wedle woli kupującego. Drugą część ceny zakupu spłacałoby się rocznymi rentami przez 50 lat.

„Nabywca sam musi uprawiać ziemię. Nie wolno mu jej wydzierżawić.

„Rady hrabstwa będą mogły dać zaliczki trzy czwarte ceny zakupu, zagwarantowane przez rzeczoną dzierżawę.

„Nowy podatek 4 pret. od dochodów w każdym hrabstwie ma służyć do dostarczenia funduszy, jeśli tego potrzeba.

„W ten sposób uzyskanoby sumę 250 milionów.“

Rząd zresztą przedstawia, iż projekt ten ma być prostą próbą. Zdawał się on znajdować przyzwolenia większości, ponieważ bill przyjęto w ogóle przychylnie.

NAJMŁODSI.

(81)

POWIEŚĆ

przez

Adama Krechowleckiego.

Część pierwsza.

(Ciąg dalszy. — Zobacz numer 52).

Roman milczał posepnie, a w miarę zbliżania się dnia wyjazdu coraz częściej zamykał się samotnie w swoim pokoju. Rozstanie się z synem kosztowało go więcej, niż się sam z początku spodziewał. Nie chciał tego okazać i uciekał od ludzi; wstydział się rozrzewnienia, jakiego opanowywało, gdy patrzył na uśmiechniętą, rozpromienioną twarzyczkę Zygmunia, wyrwijającego się w świat nie bez obawy, ale z ciekawością i młodzieńczym zapalem. Roman czuł, że z tym wyjazdem kończy się stanowczo i zamyka nieodwołalnie jeden okres jego życia, że odtąd pozostanie zupełnie samotnym. Przeraziła go myśl tej pustki, jaka go po wyjeździe Zygmunia otoczyła — pustki szarej, jednostajnej, okropnej jak otchłań, z której już teraz zdawały się wyzierać ku niemu wszystkie wspomnienia młodości, urągając jego późniejszym rozczarowaniom i zawodom. Postanowił zaraz po wyjeździe syna, zająć się gorliwie interesami, zbadać stan majątku i zaprowadzić konieczne reformy, aby powetować stratę Okasinu i dalszym zapobiedz klęskom.

— Tem się zajmę — myślał — zaprzętą całkowicie, a to mi uczyni lżejszym osamotnienie, jakie mnie czeka.

W dzień wyjazdu Zygmunia, z pierwszym ranym brzaskiem, wszczął się niezwykły ruch na pałacowym dziedzińcu. Służba wynosiła pakunki i ładowała je na wielką brykę, stojącą już od wierzora przed domem. Wszyscy domownicy byli od

świutu na nogach; w kuchni przygotowywano obfite śniadanie i zapasy. Niebawem nadjechali państwo Sipajłowie z Jurkiem, na którego twarzy malowała się pewność siebie i ogromne zadowolenie. Pani Natalia miała oczy zapuchnięte od płaczu, a pan Jędrzej ustawicznie chrząkał i powtarzał: panie teo, proszę łaski — gderał na żonę za jej magzajstwo.

Skoro tylko bryczka zatrzymała się u bramy, Jurek jednym susem wyskoczył, pędem przebiegł dziedzińca, nie zważając na wołanie matki, i podążył do pokoju Zygmunia. Sipajłowie zaproszeni zostali do sali jadalnej, gdzie było przygotowane pojeżnalne śniadanie.

W sali byli już zgromadzeni wszyscy. Nawet pan marszałek, w długim popielatym szlafroku z czerwonymi wylogami, siedział we fotelu i patrzył uśmiechnięty pogodnie na Zygmunia, który nieco przybladły, wzruszony, rozmawiał z cicha z Jurkiem. Pani Zenobia siedziała obok marszałka, opowiadając, jakie zmyry trapiły ją w nocy.

— Prawie oka zmrzążyć nie mogłam, tak mnie serce bolało, jakby je obrzecz żelazna ścisnęła. Nie umiem wypowiedzieć, co to za męczarnia! Ale sobie powiedziała, że płakać nie będę i nie płaczę. Ani jednej łzy.

To mówiąc, spojrziała triumfująco na szlochającą panią Natalię, która, stojąc przy oknie, zdawała się nikogo nie widzieć i na nie nie zważać. Chustkę trzymała przy oczach i łkała.

— Niech pani Sipajłowa siada — owała się Zenobia — trzeba mieć siłę woli, umieć zapanować nad sobą. Niech pani Sipajłowa na mnie patrzy. Przez cały tydzień spokoju nie miałam ani chwili, wszystko niemal własną ręką przygotowałam dla Zygmunia, nog nie czuję; dzisiaj w nocy oka nie zmrążyłam. Powiedziałam sobie jednak, że tak być musi; pogodziłam się z myślą rozstania się z synem, jestem silna i nie płaczę.

Na ost tnie słowa Zenobii wszedł Roman. Był bladej, widocznie ze wzruszenia; zasygnalizowane słowa żony wywołały gorzki uśmiech na jego usta. Znał on przecie dobrze tę energią Zenobii

i słyszał, jak przy obcych mówiła o niej szeroko i długo. Zdumiewał się nieraz, jak ta kobieta potrafiła siebie samą ludzi własnymi słowami. Słyszając ją, można było mniemać, że wszystko w domu zależało od jej woli i opierało się o nią, gdy w rzeczywistości ona o niczem zgola nie wiedziała i nie była na seryo nie zajmowała. Była jednak dziwna jakaś potęgą w tem samowładstwie. W tej chwili naprzykład, w chwili rozstania się z jednym i niewątpliwie bardzo ukochanym dzieckiem, pani Zenobia, mówiąc o swojej sile woli, rzeczywiście jedna tylko w całej rodzinie zachowywała najzimniejszą krew, najdzielniejszą to rozstanie znosiła. Mówiła ciągle o sobie i tak się w tym zachwycie nad sobą pogryzała, że traciła niejako świadomość chwili. Pamiętała tylko o tem, aby w obec innych okazać się dzielną.

Przygotowanego śniadania nikt nie jadł, oprócz Jurka, który z pod oka „obserwując wszystkich i wszystko, spożywał dary boże z młodzieńczym apetytem i od czasu do czasu uśmiechał się do siebie.

— Złab! te ceremonie rychło już się skończyły! — myślał.

Po śniadaniu pan Roman wstał i pierwszy dał hasło.

— Zygmuniu — rzekł — pożegnaj się z dzieckiem i matką.

Zygmuś porwał się z miejsca, podbiegł do marszałka, na oba kolana ukląkł i pochylił się przed starcem.

Marszałek nagłym ruchem odsunął fotel od stołu i w obie ręce chwycił jasnowłosą głowę wnuka. Usta mu drgały, cała głowa trzęsła się i chwiała.

— Niech cię Bóg wielki błogosławi! — przemówił głosem drżącym. — Po raz pierwszy opuszczasz dom rodzicielski, ważna to chwila w życiu. Szczęśliwy, kto powraca do niego z dojrzałym umysłem, a niezmiennym sercem. Niech cię Bóg prowadzi i ochrania w tym świecie, do którego po raz pierwszy wchodzisz. Starszych szanuj, rówieśników kochaj, przebaczaj im, sumienia słuchaj!

Mówiąc to, nad głową wnuka kreslił znak krzyża, poczem, pochylając się, podniósł rozplakanego

Zygmunia, z kłęczek i przycisnął do piersi całując.

— Niech ci ta chwila w pamięci zostanie — rzekł w końcu. — Idź teraz do matki.

Na wszystkich obecnych słowa marszałka, wymawiane powoli, wyrażone a uroczyście, silne wywarły wrażenie, skierowując myśl na rzeczywiste znaczenie tej chwili, w której młodzieniec po raz pierwszy opuszcza próg rodzicielskiego domu. Nawet pani Natalia przestała płakać i dopiero znowu łkać zaczęła, ujrawszy jak pani Zenobia bezmownie ścisnęła syna w objęcia. W tej chwili istotnie serce matki, zajęte dotychczas myślą o swojej niespożytej energii, pękało z bólu. Nie mogła przemówić ani słowa, łzy płynęły z oczu strumieniem, a głuche łkanie wydobywało się z piersi.

Za tym przykładem pani Natalia rzuciła się ku Jurkowi, który, jakkolwiek wzruszony, hamował uniesienie matki.

— Niech mama nie płacze — powtarzał — dosyć tego!

— Zeniu, Zeniu! — przemówił z cicha Roman, zbliżając się do żony — czas jechać.

Równocześnie drzwi się otwały i na proggu stanęła zdyszana panna Malicka. Od swiutu, zajęta przygotowywaniem rozmaitych zapasów i przysmaczków dla swego pieszczonego, miała zaledwie czas zdążyć w ostatniej chwili na pożegnanie. Na twarz jej wybiegły czerwone plamy, oczy błyszczały gorączką.

Zygmuś zobaczywszy ją, w prost z objęć matki podbiegł ku niej. Ona go w ramiona ujęła, twarz, czoło, włosy zaczęła całować, bez łez, ale z jakimś rozpaczliwym smutkiem, który się chwilami przytłumionym jakimś wyrażał.

— Dziecko ty najdroższe! dziecko ty mój! — szeptała. I naraz, nagłym ruchem pochyliła się, porwała rękę Zygmunia i zanim on temu przeszkodził zdołał, do ust ją poniosła.

— Paniczku — jęknęła — nie zapomnij o stariej słudze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

